

rza dobiegł go odgłos kopyt końskich, uderzających o kamienie, jakimi dziedziniec był wybrukowany.

Kasztelan wyszedł na pole i wkrótce powrócił do pokoju w towarzystwie starego hrabiego Mironeau.

Ten ostatni usiadł przy stole i skinieniem ręki wskazał kasztelanowi miejsce naprzeciw siebie.

— Dawno już u ciebie nie byłem, mój stary. Jakże ci się tu powodzi?

— Nie źle, łaskawy panie.

— Jesteś jeszcze zdrow i czerstwy — hej stary, dokądże ty chcesz żyć?

— Przynajmniej tak długo, jak Matuzalem — żartobliwie odpowiedział Marcin.

Hrabia skinął głową z uśmiechem.

— No, ale żarty na bok; jakże się ma oblakana?

— Zdrowa i rzeźka; właśnie przed chwilą złożyłem jej wizytę.

— Więc już po części przyzwyczaiła się?

— Po trochu; wprowadzie od czasu do czasu jeszcze się ciska i psiochy, no, ale z czasem to i to ustanie.

Hrabia bębnił palcami po stole i pogwizdywał jakąś wesołą aryjkę.

— Nie znasz kobiet, stary — zawołał nagle ożywiony — to stworzenia sprytne i podstępne, zwłaszcza, jeżeli chodzi o podejście mężczyzny. Uważaj więc, żeby i ciebie nie wzięła kiedy na kawał.

— Ale w jaki sposób?

— Tego, to i ja nie wiem; może będzie chciała prośbami, płaczem zmiekczyć twoje serce.

— To by się nadaremnie trudziła i o to może pan hrabia być zupełnie spokojny.

Hrabia poklepał go poufale po ramieniu.

— Umiem cenić twoją wierność, Marcinie i możesz być przekonany o moim do ciebie zaufaniu. Jednak teraz o czym innym.

Znowu zaczął bębnić palcami po stole, a twarz jego przytem zmieniła się do niepoznanienia.

— Marcinie — zaczął stłumionym głosem — czy twój syn żyje jeszcze?

— O którym pan hrabia myśli?

— Ten, co to był pomocnikiem rządcy Bernera, wtedy, jak mego brata zamordowano.

Starzec z początku się zakłopotał, ale zdołał wkrótce zapanować nad sobą i twarz jego przybrała znowu dawny, obojętny wyraz.

— O nim już dawno nie słyszałem i nie mam nawet pojęcia, gdzie się teraz znajduje.

— Mówisz prawdę, Marcinie?

— Jak tu stoje przed jaśnie panem — zapewniał stary.

— A jakże doszło do tego, żeście zerwali ze sobą wszelkie stosunki?

Marcin wzruszył ramionami.

— Dalibóg, tego dokładnie powiedzieć nie mogę. Od czasu owego wielkiego procesu o morderstwo przed kilkunastu laty, w którym syn mój musiał świadczyć przeciwko rządcy Bernerowi i jego żonie, nastąpiła między nami — dlaczego, nie wiem — pewna oziębłość; widywaliśmy się coraz rzadziej, aż wreszcie syn mój znikł z tych stron.

— I od tego czasu już więcej o nim nie słyszałeś?

— Pisał jeszcze kilka razy do mnie, nie podając jednak nigdy adresu...

— O czym pisał mniej więcej?

— Pisał, że wygrał na loterii jakąś większą sumkę, że zaczął spekulować, spekulacje powiodły mu się szczęśliwie, tak, że stał się bogatym człowiekiem.

— A skądże listy przychodziły?

— Jeżeli się nie mylę, to nadawane były w Berlinie.

— Kiedy otrzymałeś ostatni list?

— Na Boże Narodzenie będzie... ośm lat.

— I od tego czasu więcej nie pisał?

— Nie.

— No, to już chyba umarł.

— Nie przypuszczam, panie hrabio.

— Dlaczego? — Ośm lat, to długi przeciąg czasu; człowiek się może nawet i z kostuchą załatwić.

Marcin potrząsnął żywo głową.

— Będzie temu ze dwa lata, kiedy byłem w Berlinie i tam przypadkowo go spotkałem.

— O, jakże to?

— Wlokłem się właśnie jakąś szeroką ulicą, kiedy ujrzałem przed sobą powóz, w którym siedział mój syn obok jakiejś młodej, przepięknej damy.

— Musiałeś się pomylić, stary — nie?

— E, gdzieżbym ja tam nie poznał mojego

syna panie hrabio — zaprzeczał stary. — Stałem przecie na ulicy, a tuż koło mnie przejeżdżał powoli powóz. Była chwila, żeśmy sobie, ojciec i syn, po wielu, wielu latach, spojrzeli znowu w oczy.

— To i on cię wtedy musiał poznać.

— A juści, że mnie poznał; przecie pozdrowił mnie skinieniem głowy, a nawet, kiedy powóz już przejechał, jeszcze się obrócił ku mnie.

Hrabia patrzył przed siebie zamyślony: twarz jego zdradzała coraz większe wzburzenie. Siegnął nagle do kieszeni i wyciągnął z niej jakąś kopertę.

— Marcinie — rzekł — od tylu już lat jesteś moim powiernikiem a jeszcze nigdy nie złapałem cię na niedyskrecyi. Więc i teraz wtajemniczę cię w pewną sprawę, w której trzeba zachować jak największe milczenie.

— Ja je też zachowam, jaśnie panie — zapewniał sędziwy kasztelan. — Towarzystwo — dodał z uśmiechem — w jakim ja się obracam, to zwierzęta leśne, zające, lisy i sarny; przyjaciele moi — to ptaszęta; im to powierzam jedynie moje

słowem: dziewczyna, mająca dzisiaj lat siedemnaście, może uchodzić za pannę, która urokiem, pięknoscą i wykształceniem znacznie inne panny przewyższa, nawet te, które miały szczęście urodzić się w najlepszych domach.

Pisząc to, chciałbym pana hrabiego przygotować na szczególne zrządzenie losu, które i pana, panie hrabio, blisko obchodzi.

Moja przybrana córka, Laura, poznała się przed niedawnym czasem z pewnym młodym, pięknym oficerem. Ze znajomości tej wyrosła wkrótce wzajemna, głęboka miłość obojga młodych. Z początku trzymałem się na uboczu; kiedy mnie zaś wtajemniczono w to, co się dzieje, stanąłem już wobec dokonanego faktu: serca młodych były już połączone węzłem najczystszej, płomiennej miłości.

I to jest jądro sprawy.

Ów oficer, prosząc mnie o rękę mej przybranej córki, wymienił po raz pierwszy przedemną swój stan i swoje nazwisko. Brzmiało ono: Jan hrabia Mironeau.

Szczególne zrządzenie losu, że właśnie te dwa serca ludzkie zapłonęły gorącą ku sobie miłością!

Zwracam się tedy do pana hrabiego z uprzejmem zapytaniem, czy pan hrabia byłby skłonny zezwolić na ślub swego syna z panną Berner. Do dwudziestego bieżącego miesiąca będę czekał na pańską odpowiedź; jeśli jej w tym czasie nie dostanę, będę uważał milczenie za zgodę i według tego postąpię.

Nie mam zamiaru w jakikolwiek sposób wpływać na pańskie postanowienie, nie mogę jednakże nie zwrócić panu hrabiemu uwagi, że niezgodzenie się pana na ten związek unieszczęśliwi na zawsze dwoje młodych ludzi; dlatego załączam od siebie pokorną prośbę, by pan hrabia raczył zezwolić na ich połączenie się i nadesłać kochającym się swoje ojcowskie błogosławieństwo.

Tu hrabia upuścił list i podniósł wzrok w górę.

— Cóż ty na to, kochany Marcinie? Cóż ty na to powiesz?

— Że byłoby lepiej, gdyby pan hrabia był ten list przeczytał zaraz po otrzymaniu, a nie dopiero teraz.

— No tak, z pewnością! Byłbym spadł na nich jak burza i całą tę miłosną aferę w puch rozwiął.

— Więc młody pan hrabia rzeczywiście ożenił się z Bernerówną?

— Na pewne, nie wiem; ale trzeba, zdaje się, przyjać za pewnik, że tak jest w istocie.

— Gdzież więc jest jego żona?

— Tak — gdzie? To właśnie chciałem wiedzieć! Jednak długo to nie będzie tajemnicą i zrobisz bardzo dobrze, jeżeli przygotujesz jeszcze jedną piwnicę dla kobiety, którą, jeśli ją tylko odkryję i odnajdę, muszę usunąć ze świata.

Stary skinął głową na znak zgody.

— Jest tam na dole dosyć pięknych celek, a i umeblowanie się znajdzie.

— Żeby tylko wiedział, gdzie się twój syn znajduje! Czekajno! Kiedy się wzbogacił, musiał pewnie zmienić nazwisko; nie wiesz przypadkiem, jak się przezwiał?

— A wiem. Jak wyjechał do Niemiec przezwiał się, zaraz, zaraz. Aha. Nazywa się... Fryderyk Hohlfeld.

Hrabia wstał uradowany.

— Fryderyk Hohlfeld! Dobrze! Teraz go już łatwo odszukam.

Zanotował nazwisko.

(Ciąg dalszy nastąpi).



...Przyniosłem ci znowu posiłek — rzekł starzec, patrząc na nią zinnymi oczyma.

tajemnice. Komu innemu nie mogę, bo nie mam nikogo. Czy to wystarcza?

Hrabia skinął głową.

— A więc, słuchaj, o co chodzi. Wczoraj wieczorem, przeglądając moje stare korespondencje, znalazłem między listami pismo od twego syna, które leżało nierozpieczętowane w jednej ze skrytek w biurku. Data, jaką odczytałem na marce, sięga dwa lata wstecz; sam pojąć nie mogę, w jaki sposób właśnie ten list, taki ważny, mógł wtedy ująć mej uwagi.

— Dziwna rzecz, dziwna rzecz — mruzczał Marcin.

— Natęż u zy, stary, przeczytam ci ten list. Rozłożył pismo i zaczął czytać:

„Jaśnie Wielmożny Panie hrabio!

Jak Panu wiadomo, ja podjąłem się opieki nad wychowaniem córki rządcy Bernera, Gizeli, której też nadałem imię Laury. Dziewczyna rozwinęła się bardzo ładnie i wyrosła na prześliczną kobietę. Natura obdarzyła ją też wspaniałymi zaletami duszy, które dzięki wykształceniu, jakie odebrała, harmonijnie się rozwijały i dojrzewały. Jednym